

P O ciekawym eksperymencie „Faustem” w Krakowie — do znakomitym „Tannhäuserze” w Poznaniu (oba przedstawienia omówiliśmy na tym miejscu w ubiegły wtorek) niespełna w ciągu tygodnia odbyły się trzy dalsze premiery muzyczne, a licząc każdą pozycję osobno — nawet pięć: Opera Bałtycka wystawiła bowiem w ramach jednego wieczoru trzy balety: „Niobe” Juliana Łuciuka, „Tytania i osioł” Zbigniewa Turskiego i „Wesołe



MARATON PREMIER

miasteczko” Stefana Kisielewskiego.

Wszystkie trzy, to utwory nowo skomponowane, pokazywane na scenie po raz pierwszy i, jak to zwykle bywa w wypadku prapremier — wymagające od realizatorów znacznie więcej wysiłku i twórczej inicjatywy. Ale dla głównego choreografa Opery Bałtyckiej, Janiny Jarzynówny-Sobczak takie trudne realizacje to rzecz powszednia, nawet do pewnego stopnia specjalność. Począwszy od niezapomnianego „Cudownego Mandaryna” prawie wszystkie przygotowywane przez nią premiery były tego rodzaju.

Tym razem Jarzynówna opracowała inscenizację i choreografię do dwóch spośród wymienionych baletów, realizację trzeciego powierzając jednemu ze swych wychowanków, Zygmuntowi Kamińskiemu. Nie wiem, ile ma lat ów wychowanek, ale sądząc po tym, co pokazał w „Wesołym miasteczku” powinien być jeszcze bardzo młody. Jego niedojrzałość artystyczna, zwielokrotniona niedojrzałością młodego na ogół zespołu baletowego, dawała o sobie znać na każdym kroku. W tej interpretacji „Wesołe miasteczko” nie było właściwie baletem, ale suitą luźno powiązanych ze sobą numerów tanecznych. Zagubiono gdzieś po drodze libretto, a tkwiący w muzyce Kisielewskiego humor nie został właściwie wykorzystany.

Także i „Niobe” Łuciuka — w tej formie, jaką jej nadano w Operze Bałtyckiej — nie była w pełnym tego słowa znaczeniu baletem. Byłaby nim, gdyby te 15 minut (tylko tyle bowiem trwa „Niobe”) nasycono intensywnie akcją. W tej formie była to raczej scenka baletowa, zakończona solowym lamentem, ciekawie zresztą pomyślanym i pięknie odtańczonym przez Allcję Boniuszko.

Ciekawy jest również układ choreograficzny do drugiego przedstawionego przez Jarzynównę baletu: „Tytania i osioł”, czego nie można powiedzieć o jej reżyserii tak w „Niobe” jak i w „Tytanii”. Ponieważ także i scenografia Allny Ropczewskiej — Afanasjew (z wyjątkiem kostiumów do „Wesołego miasteczka”) nie służy dobrze ani treści, ani też muzyce żadnego z baletów — trudno tę potrójną premierę uznać za zdecydowanie udaną. Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, że winę za to ponoszą wyłącznie inscenizatorzy. Muzyka Turskiego wydaje się po prostu nieścisła, zaś muzyka Kisielewskiego — jak to zresztą określili sam kompozytor — jest „czystą formą”, co realizatorom zadania bynajmniej nie ułatwia. Utworem najbardziej scenicznym spośród tych trzech jest „Niobe” Łuciuka, ale i tu daje się odczuć, zwłaszcza przy końcu, niedostatek dramatyzmu.

Praca, jaką zespoły Opery Bałtyckiej: balet, chór, orkiestra oraz kierownictwo muzyczne i dyrygent Jerzy Katlewicz włożyli w przygotowanie tej premiery — nie pójdzie jednak na marne. Będzie ona dla tego ambitnego teatru pouczającym doświadczeniem.

działa ją muzyka. Ale muzyka Szelligowskiego — poza kilkoma ładnie brzmiącymi chórkami — nie jest w stanie bliżej nas dziś zainteresować.

W przedstawieniu udział bierze prawie 30 solistów, w tym kilku wybitnych, obsadzonych jednak w ten sposób, że do roboty mają bardzo niewiele; ponadto jeszcze dwa chóry, balet i orkiestra pod dyktando Zdzisława Górzyńskiego. Dość banalnie wyreżyserował rzecz całą Roman Sykała, jeszcze banalniesze dekoracje zaprojektował Jan Marcin Szancer, w kostiumach powtarzając (nawiasem mówiąc niezbyt oryginalne) pomysły ze swojej scenografii do „Pana Twardowskiego”. Reasumując: była to niedobra i chyba niepotrzebna premiera.

PODOBNE refleksje budzi ostatnia nowość na scenie Operetki Warszawskiej. Włoski musical G. Kramera „Niedziela w Rzymie” mógłby się podobać tylko wówczas, gdyby został koncertowo zagrany i zaśpiewany. Ponieważ w warszawskiej obsadzie tylko dwie panie: Karolina Lubieńska i Wanda Polańska spełniają oba te warunki, przedsięwzięcie z włoskim musicaliem zakończyło się niepowodzeniem. Brak wokalne i aktorskie reszty wykonawców uwypukliła jeszcze niesprawną reżyseria Imy Czaykowskiej. Niezdecydowana w stylu i charakterze scenografia małżeństwa Zahorskich dopełniła smutnej całości.

Smutnej podwójnie: z powodu ubóstwa dowcipu w tym przedstawieniu i z powodu jeszcze jednej nieudanej premiery w „Romie”. Bo czas już najwyższy, aby w tej wspaniałej siedzibie, otrzymanej w spadku po Operze, rozpoczęła się dobra passa stołecznej Operetki.

TADEUSZ KACZYŃSKI